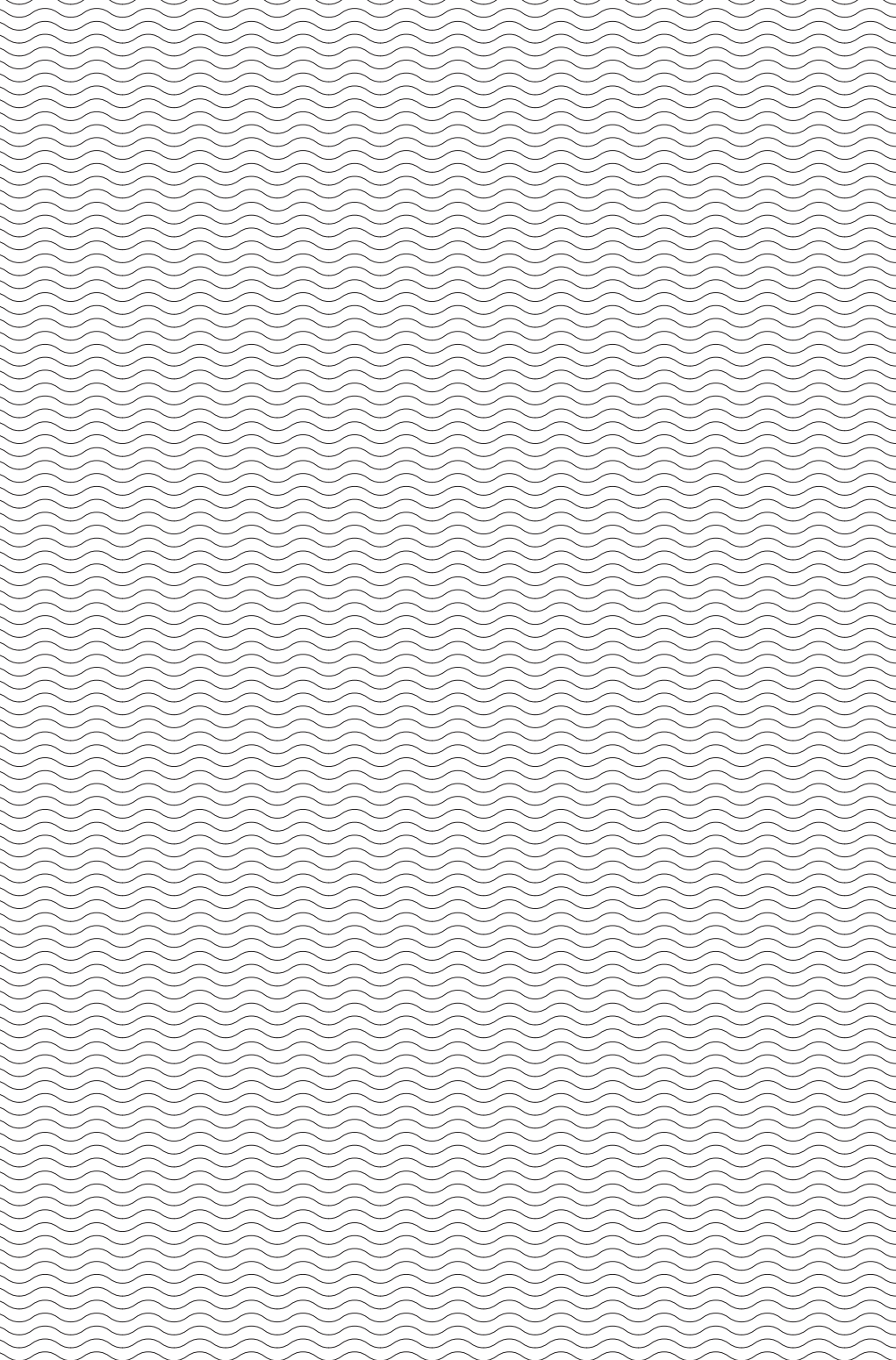




Kaszubska Madonna

OPRACOWAŁ I DO DRUKU PODAŁ
JERZY LIMON



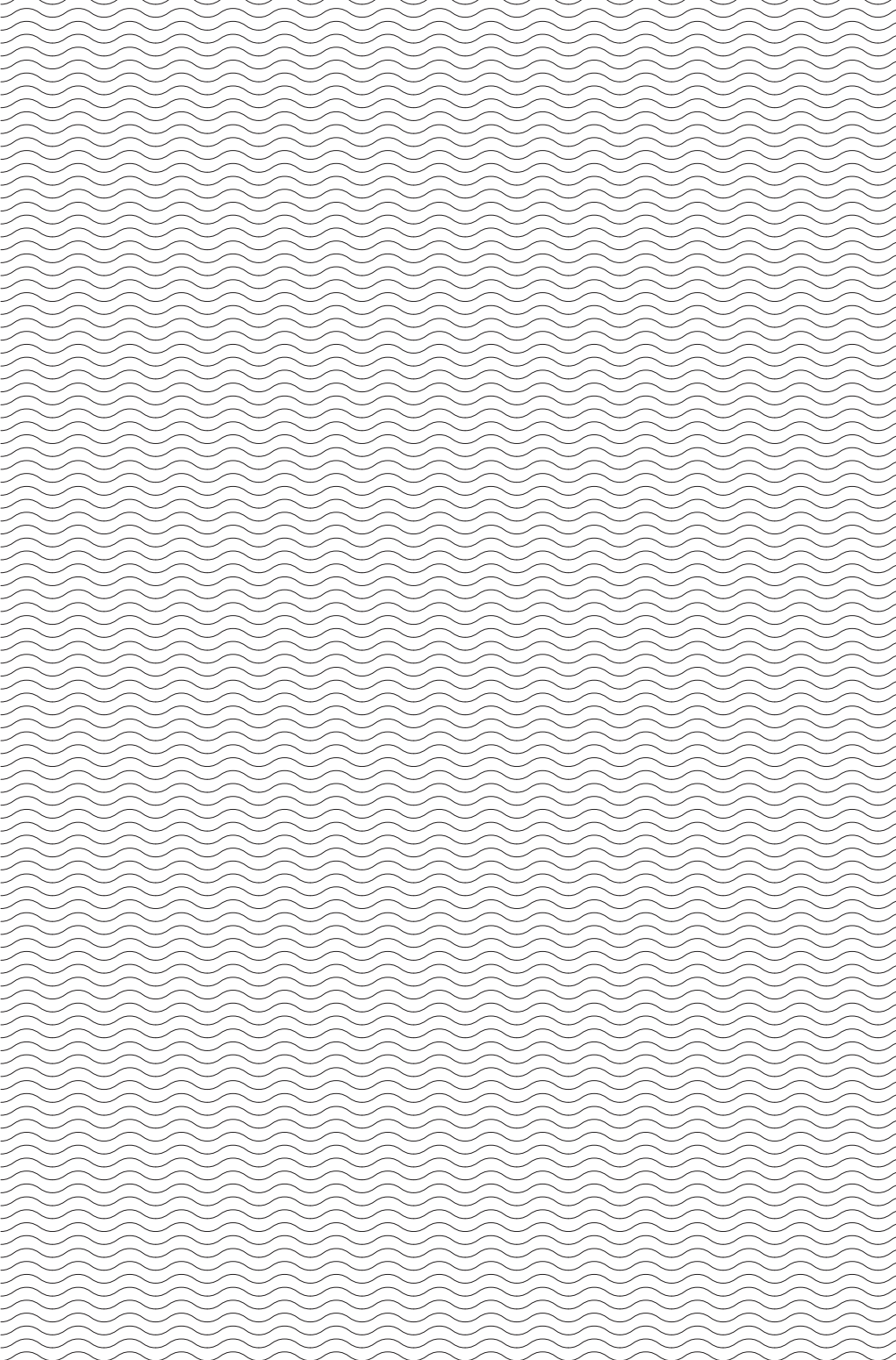
Być może niezupełnie przypadkowo Dyrekcja Biblioteki Gdańskiej Polskiej Akademii Nauk zwróciła się do mnie z propozycją opracowania i przygotowania do druku dość nietypowego rękopisu (nr kat. Ms 240550). Nietypowość ta, ba, pewna nawet zagadkowość, wynika z faktu, iż rękopis ten, liczący około 200 luźnych i przeważnie nieponumerowanych kartek formatu A4, pokrytych drobnym i często nieczytelnym pismem, znaleziono któregoś letniego dnia 1985 roku w Czytelni Naukowej (na miejscu numer 19). Dla bibliotekarzy czy archiwistów znaleziska tego typu to nie nowina, szkopał jednak w tym, że jak wynika z jego pobieżnej choćby lektury, jest to rękopis współczesny, a ponadto nie został on zdeponowany w Bibliotece, lecz pozostawiony w Czytelni czy to na skutek roztargnienia autora (do dziś nie udało się jego tożsamości ustalić), czy też celowo przez niego tam porzucony. Jedno nie ulega wątpliwości: materiał ten sprawia wrażenie skończonego bądź prawie skończonego (w paru miejscach tekst się gwałtownie urywa); nasuwa się przypuszczenie, że parę kartek gdzieś się zawieruszyło. Ponieważ w ostatnim rozdziale jest również i o mnie mowa, co było – przyznać muszę – niemałym dla mnie zaskoczeniem, postanowiłem pozostawić odnośne fragmenty bez jakiegokolwiek komentarza. Mogę tylko dodać, że byłoby to w wielu miejscach konieczne, gdyż – dla przykładu – nigdy opowiadania pod tytułem „Kaszubska Madonna” nie napisałem (natomiast wykorzystałem ten tytuł dla całości, autor bowiem – zapewne przez niedopatrzenie – pozostawił

swe dzieło bez tytułu). Innych nieścisłości nie prostuję, gdyż ingerencja wydawcy w tekst byłaby zbyt duża. Dla łatwiejszej lektury postanowiłem też ograniczyć liczbę przypisów do niezbędnego minimum, pozostawiając je – za autorem – w tekście głównym.

Korzystając z okazji, pragnę bardzo serdecznie podziękować za życzliwość i pomoc pracownikom Czytelni Naukowej, a także prof. prof. Andrzejowi Kopcewiczowi i Tomaszowi Krzeszowskiemu, których cenne uwagi umożliwiły ukończenie tej żmudnej pracy. Dziękuję także markizowi Orii, który osobiście patronował całemu przedsięwzięciu.

— *J. L.*

Gdańsk, sierpień 1986





Kiedy w ostatniej ćwierci xx wieku co bardziej rozsądni historycy sztuki przestali się już rozpisywać na temat polskości czy niemieckości Gdańska, a miasto nie po raz pierwszy w swych burzliwych dziejach stało się głośne na świecie, choć może po raz pierwszy jako Gdańsk właśnie, a nie Danzig, więc kiedy z prac historyków sztuki dotyczących Gdańska i regionu zaczęły zniknąć wątki nacjonalistyczne, czy też jak niektórzy wolą – patriotyczne (co oczywiście zależy od narodowości danego badacza), natrafiono wówczas ponownie na ślad Pięknej Madonny z okolic Rozewia, która zafascynowała swoją innością wszystkich, którzy jej historię próbowali zgłębić. Niestety, od razu należy wyjaśnić, że rzeźba ta nie zachowała się do naszych czasów, gdyż ślad po niej zaginął gdzieś pod koniec XVIII wieku i jedynie należy sobie życzyć, by odnalazła się kiedyś w zbiorach jakiegoś bogacza-kolekcjonera w Dallas albo w Singapurze. Nie można bowiem poważnie traktować lokalnej legendy, żywej do dziś, wedle której owa Piękna Madonna ma w cudowny sposób powrócić w okolice Rozewia, że ma wypłynąć z morza, by ponownie wziąć pod opiekę swój wybrany lud, wystawiony również i w ostatnim czasie na kolejną wielką próbę wiary i wierności. Tak więc dzieło to znamy tylko z paru zdawkowych opisów oraz z wielu innych przekazów tylko pośrednio z nim związanych. Ale i tak nie doczekały się one do tej pory syntetycznego opracowania i tę lukę niniejsze studium ma uzupełnić. Znakomita większość zachowanych źródeł znajduje się w Bibliotece Gdańskiej Polskiej

Akademii Nauk, instytucji szacownej i znanej w świecie naukowym z bezcennych zbiorów starodruków i rękopisów, a założonej przed czterema wiekami – jako Biblioteka Senatu Gdańskiego – przez pewnego włoskiego arystokratę, którego olejny portret z 1597 roku wisi do dziś w Czytelni Naukowej tejże biblioteki. Świadczy to niewątpliwie o wdzięczności, jaką gdańszczanie czują dla fundatora tak ważnej dla kultury miasta placówki, wdzięczności przez czas i obyczaje niezatartej. Zaskarbił sobie ten człowiek i naszą wdzięczną pamięć, gdyż bez niego nie natrafiono by na ślad kaszubskiej Madonny, i to z dwóch przynajmniej powodów: po pierwsze, założył on bibliotekę w Gdańsku, a bez niej nie mielibyśmy dostępu do źródeł historycznych dotyczących tej unikatowej na ziemiach Polski rzeźby; a po drugie, pewien epizod w jego życiu, o którym dowiadujemy się właśnie z owych źródeł, złączył go na wieki nie tylko z biblioteką czy Gdańskiem, ale i z samą Madonną. Można dodać i po trzecie, że bez markiza z wielu względów napisanie tej pracy byłoby niemożliwe. Jest w tym nieco ironii losu, włoski arystokrata był bowiem heretykiem, przynajmniej z punktu widzenia katolików (na przykład dzisiejszych gdańszczan), choć – trzeba to przyznać – był też człowiekiem bogobożnym i prawowiernym z punktu widzenia wyznawców Kościoła zreformowanego (na przykład ówczesnych gdańszczan).

Zanim jednak Jan Bernard Bonifacio, markiz Orii – bo o nim tu właśnie mowa – ofiarował swój cenny księgozbiór Radzie Miejskiej w Królewskim Mieście Gdańsku

(a było to we wrześniu 1591 roku), dając tym samym dowód wdzięczności za gościnne przyjęcie i stwarzając załączek Biblioteki Miejskiej, musiał on przeżyć chwile niezwyklej grozy i tylko cudem wyrwano tego cnotliwego człowieka z objęć lubieżnej śmierci. Wyprzedzając nieco te fakty, należy przypomnieć, że markiz był świetnie wykształconym humanistą, ale ponieważ jego ciągoty w kierunku protestantyzmu stały się zbyt znane w jego cieplej i kolorowej ojczyźnie, by ująć uwadze czujnej Świętej Inkwizycji, troskliwie dbającej o ludzkie dusze, musiał on ruszyć na tułaczkę po świecie, by w końcu, znużony peregrynacją, na stare lata wybrać dość chłodną i przez połowę roku szarą Polskę, gdzie miałyby spocząć jego zmęczone kości. Jak przystało na humanistę, od spalenia wolał rozkład naturalny. Polska słynęła (wówczas) z tolerancji, stawiana przez wielu za wzór do naśladowania, a złota wolność szlachecka – później tak bardzo niesławna – trzymała w ryzach wszelkie zakusy Inkwizycji, na temat bowiem duszy szlachcica tylko on sam mógł się wypowiadać, przez co był to kraj bez stosów, czym się do dziś Polacy chlubią, a co najwyżej mordować można było bezkarnie katolickich czy prawosławnych chłopów, z tym że nie czyniono tego z pobudek religijnych. Wybór Polski był przeto wyborem rozsądnym i szczęśliwym, gdyż po pierwsze – markiz chłopem nie był, a po drugie – będąc człowiekiem doświadczonym, a przez to przezornym i nieco nieufnym, dla większej pewności postanowił w głąb kraju się nie zapuszczać i osiąść na stałe w luterańskim

naówczas Gdańsku. Zanim jednak dowiózł tam swoje uczone książki (a było ich ponad tysiąc!), przeżył – jak już wyżej wspomniano – chwile tak wielkiej grozy, że je z dreszczem przerażenia do końca życia wspominał, tak jak i rozmyślał ustawicznie o niecodziennym, cudownym właściwie wydarzeniu, które mu życie ocaliło.

Zachowane źródła pozwalają nam na odtworzenie wypadków. A było to tak: kiedy w sierpniu 1591 roku markiz z paroma towarzyszami ponieważ płynął statkiem bandery genueńskiej z Lubeki do Gdańska i kiedy byli już prawie u kresu spokojnej podróży, zerwał się gwałtowny sztorm, potężne podmuchy wichury porwały na strzępy żagle, a bezwładny statek (karawela) uniesiony został przez silny prąd morski, obrócony parokrotnie wokół swej osi i niczym dziecinna zabawka rzucony z impetem na przybrzeżną mieliznę. Siła uderzenia była tak wielka, że kadłub pękł niczym gliniany dzban, do wnętrza wdarła się woda, a po chwili olbrzymie fale rozbiły całą konstrukcję na drobne kawałki. To wydarzenie, o którym markiz jeszcze wielokrotnie z przejęciem opowiadał i które w listach szczegółowo i poetycko opisywał, miało miejsce w pobliżu przylądka Rozewie, gdzie silne prądy i wiry do dziś są utrapieniem przybrzeżnych rybaków, żeglarzy, a także korzystających z kąpieli letników. Według relacji markiza statek „drżący, rozkołyszany ciosami fal, które opadły go na mieliźnie jak sfora dzikich, zgłodniałych psów, bronił się jeszcze, niczym tonący człowiek, machając rozpaczliwie masztami, jakby starając się utrzymać równowagę na

chybotliwej linie, lecz wkrótce, gdy już kadłub zachłysnął się całym wnętrzem i osiadł głębiej, również i maszty padły łupem groźnych grzywaczy i z potężnym, przeciągłym jak jęk trzaskiem runęły w żarłoczne, spienione morze. Straciwszy równowagę, kadłub – a właściwie jego żalosne resztki, wystające nadal nad wodą, jeszcze przez chwilę stawiały rozpaczliwy już opór, lecz zaraz i one – przy świetle bezradnej latarni morskiej – padły pastwą ciężkich bałwanów, które z dziecinną łatwością miażdżyły wszystko, co śmiało im stawić czoło...”

Jak sam w którymś liście przyznaje, markiz nie umiał pływać, więc niechybnie utonąłby szybciej od innych w kotłującej, huczącej kipieli, gdyby nie niespodziewana pomoc okolicznych mieszkańców, którzy jakby w odpowiedzi na błagalne modlitwy tonących, nie bacząc na nawałnicę i olbrzymie bałwany, z narażeniem życia podpłynęli na swych niezwykłych, bo jakby niezatapialnych łodziach do rozbitego statku i z wielkim poświęceniem, ba, nadludzkim wysiłkiem, ratować zaczęli tonących i tych, którym udało się jeszcze szczęśliwie uchwycić jakichś drewnianych elementów statku. I w ten to niecodzienny sposób markiz i jego towarzysze, którym już śmierć zajrzała w oczy, zostali bezpiecznie przewiezieni na ląd, gdzie czekały już na nich troskliwe kobiety, które wnet zaprowadziły zziębniętą, zmokniętą i na wpół przytomną z przerażenia gromadkę do ciepłej i przytulnej chaty wiejskiej. Okazało się bowiem, że wieś leży w pobliżu wysokiej, klifowej skarpy, tworzącej właśnie przylądek

o nazwie Rozewie. [Obecny przyładek jest cofnięty o dobre kilkaset metrów w stosunku do tego, o którym tu mowa – przyp. aut.]. Tam ich przebrano, okryto wełnianymi [sic!] kocami i dano ciepłą strawę oraz po szklanicy gorącego miodu. Byli jeszcze zbyt oszołomieni, by zauważyć, jak zaskakująco sprawnie wszystko związane z niesieniem pomocy było zorganizowane, jak bardzo było rutynowe, dopracowane do ostatniego szczegółu; nie zauważyli więc, że ubrania leżały w skrzyniach, jakby na nich czekając, że koce leżały ułożone w równą stertę, że ogień w piecu ponad potrzebę był rozpalony, a ciepłego jedzenia starczyłoby dla jeszcze raz tylu rozbitków. Nawet legowiska dla nich były przygotowane i wcale nie sprawiały wrażenia prowizorycznych; było ich nawet więcej niż rozbitków. Kobiety, kiedy zorientowały się, że niektórzy z nich to Włosi, zaczęły zagadywać do nich, używając paru słów i zwrotów włoskich, jakie znały. Markiza Orii, kiedy już przyszedł do siebie, bardzo zdumiało, gdy jedna wieśniaczka zapytała go w jego ojczystym języku: „Skąd płynęliście?”. „Z Lubeki” – odpowiedział machinalnie, choć czuł, jak mu się oczy ze zdziwienia rozszerzają, no bo niby skąd ta prosta wieśniaczka na jakimś odludziu mogła znać włoski. „A kapitan jest z wami?” – pytała dalej. „Jest” – markiz nie mógł opanować zdumienia i odpowiadał jakby z namysłem, wolno, szczypiąc się zarazem pod kocem, żeby sprawdzić, czy aby nie śni. „No to chwała Przenajświętszej Panience” – odrzekła, przeżegnawszy się pobożnie, a na odchodnym dodała: „Nie bójcie się, nic

wam tu nie grozi ani waszym towarom”. Po chwili markiz słyszał, jak w podobny sposób rozmawiała z marynarzem, z tym że rozmowa toczyła się już po hiszpańsku. Lecz jeszcze dziwniejszy był fakt, iż mimo upływu co najmniej paru godzin mężczyźni jeszcze nie powrócili do domów. Zapytane kobiety spokojnie wyjaśniły, że są jeszcze zajęci, że jeszcze dużo pracy i mozołu ich czeka, gdyż próbują uratować co się tylko da z towarów wiezionych przez statek oraz dobytek nieszczęsnych pasażerów. Tego już nikt z rozbitków pojąć nie mógł. Każde poświęcenie ma swoje granice, których przekroczenie świadczy o braku rozsądku. „To wasi mężowie – pytano wokół z niedowierzaniem – dla naszego dobytku życie narażają?!” Kobiety uśmiechały się tylko z wyższością osób, które pytane są o rzeczy oczywiste, ale przyczyn tego niezrozumiałego poświęcenia nie chciały albo nie umiały wytłumaczyć. Przeto niektórych strach zdjął, słyszeli bowiem niejedną straszną opowieść o przybrzeżnych rabusiach, co to korzystając z nieszczęścia innych, albo podstępem sami je powodując, rabują towary z rozbitych statków, a pasażerów – nie wyłączając dzieci – najczęściej bezwzględnie mordują, by nie mieć świadków i w razie dochodzenia twierdzić, że był to statek saraceński. [Jedynie za rabunek statku chrześcijańskiego groziła kara, a nawet kłótnia kościelna – przyp. J. L.]. Te nieczne praktyki miały wielowiekową niesławną tradycję, a ich źródła należy upatrywać w zachłanności ludzkiej oraz w tak zwanym prawie nabrzeżnym (łac. *naufragium*; niem. *Strandrecht*;